

Reprywatyzujemy, co się da



STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”

By ograniczyć możliwość nadużyć, trzeba surowo i jednoznacznie określić katalog osób, które o zwrot mienia i odszkodowania mogą się starać, a które nie. Handlarze roszczeniami i osoby przypadkowe muszą zostać odcięci od profitów

Politycy są jak dzieci. Wydaje im się, że jeśli np. schowają nie ulubiane warzywo pod łóżko lub dywan, zamiast je zjeść, to przestanie ono istnieć. Jednak tak się nie dzieje: jedzenie z czasem się zepsuje, zacznie cuchnąć i ściągać do pokoju robaki (żeby nie było niejasności – moje dzieci jeszcze czegoś takiego nie dokonały). Smród roznosi się na całe mieszkanie, a po dokonaniu przykrego odkrycia trzeba sprzątać.

Dokładnie coś takiego dzieje się w Polsce wokół reprywatyzacji. Poza Albanią, jesteśmy jedynym byłym demoludem, w którym nie dokonano w sposób uporządkowany zwrotu prywatnego mienia, zagrabionego po II wojnie światowej przez komunistów. Teraz, w związku z pęknięciem bańki afer reprywatyzacyjnych, w Warszawie temat wraca ze zdwojoną siłą. I jest asumptem do tego, by sprawę wreszcie naprawić.

Zapowiadali reprywatyzację, przeprowadzili nacjonalizację

Pojawienie się debaty dopiero w kontekście afer w stolicy świadczy o głębokim warszawocentryzmie polskich mediów – przecież podobne historie można było od lat usłyszeć także w Krakowie, Łodzi, Poznaniu czy licznych wsiach. Więcej: kwestia reprywatyzacji to przecież nie tylko „dekret Bieruta” i odbieranie także na podstawie (lub bez) innych aktów prawnych kamienic w licznych miastach, ale również zwrot zagrabionych dworców, fabryk, aptek, sklepów, piekarni, browarów i innych zakładów rzemieślniczych. Tworzą one splot problemów wynikłych z jednej strony z niesprawiedliwości licznych aktów „uspołecznienia”, z drugiej zaś z prawnego niechlujstwa realnych komunistów – którego do tej pory nie naprawiono.

A należało to zrobić, ponieważ proces reprivatyzacji powinien zostać przeprowadzony ze względu na rolę, jaką w państwie i społeczeństwie odgrywa własność prywatna. Opiewali ją filozofowie na przestrzeni całej historii naszej cywilizacji (choć miewali różne opinie nt. jej granic) – od Arystotelesa przez św. Tomasza z Akwinu, Johna Locke’a, po papieskich autorów encyklik społecznych („Rerum novarum” Leona XIII zaczyna się od krytyki socjalizmu za chęć zniesienia własności prywatnej). Instytucja własności, którą trudno byłoby zrealizować poza państwowym systemem prawnym, pozwala cieszyć się owocami własnej pracy. Zamieniona w kapitał pozwala się mnożyć, porządkuje tytuł prawny do użytkowania rzeczy i zabezpiecza wolność jednostki oraz rodziny, ponieważ bez posiadanej przez nas własności, jesteśmy skazani na łaskę i niełaskę tych, którzy posiadają rzeczy niezbędne nam do życia. Ma także znaczenie dla efektywności gospodarki: bez własności prywatnej trudno wyobrazić sobie gospodarkę opartą na mechanizmie cenowym, brak własności pociąga za sobą rozmycie odpowiedzialności za wykorzystanie dóbr i w konsekwencji olbrzymie marnotrawstwo.

Komuniści wiedzieli, że tak właśnie Polacy widzą własność, w związku z czym pierwotnie ukrywali chęć całkowitego uspołecznienia gospodarki (do którego zresztą ostatecznie i tak, na szczęście, nie doszło). Dlatego w „Manifeście Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego” z 22 lipca 1944 roku zapowiedzieli nie tylko reformę rolną, ale także... reprivatyzację. Pisali, że „własność, zrabowana przez Niemców poszczególnym obywatelom, chłopom, kupcom, rzemieślnikom, drobnym i średnim przemysłowcom, instytucjom i kościołowi, będzie **zwrócona prawowitym właścicielom** [podkr.

aut.]. (...) Majątek narodowy, skoncentrowany dziś w rękach państwa niemieckiego oraz poszczególnych kapitalistów niemieckich, a więc wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, bankowe, transportowe oraz lasy, przejdą pod Tymczasowy Zarząd Państwowy. W miarę regulowania stosunków gospodarczych **nastąpi przywrócenie własności** [podkr. aut.]”. W praktyce poszli jednak w innym kierunku: nacjonalizacji przedsiębiorstw i własności ziemian, która zresztą, gdy mówimy o dworach i pałacach, była niezgodna z reformą rolną, zadekretowaną przez PKWN.

Kto nie chciał ustawy?

Przez kolejne kilkadziesiąt lat znacjonalizowanym majątkiem zarządzało państwo – aż w końcu nastąpiły Sławetne Przemiany. Już od samego początku transformacji widać było, że bez uregulowania tego procesu będziemy mieli do czynienia z licznymi patologiami. Świetnym przykładem jest los jednego z projektów ustawy, dotyczącej tej materii, którym zajął się Sejm Kontraktowy na wniosek Senatu w 1990 roku. Ustawa dotyczyła wąskiego wycinka własności, czyli znacjonalizowanych w 1951 roku prywatnych aptek. Gdy rozpoczęły się przemiany ustrojowe, zarządzające nimi Przedsiębiorstwo Zaopatrzenia Farmaceutycznego „CEFARM” zaczęło je... reprivatyzować, nie biorąc pod uwagę praw wywłaszczonych właścicieli. Szczególnie zainteresowana tym procederem była nomenklatura w postaci aktualnych zarządców aptek. Senatorowie proponowali, by CEFARM zwrócił prawowitym właścicielom zagrabione mienie, jeśli zaś dana apteka została już sprywatyzowana, by zaoferował im inną aptekę, o podobnej wartości, lub na własny koszt

nabył na ich rzecz skarbowe bony kapitałowe. Ustawa ugrzęzła w sejmowych komisjach i nie doczekała się uchwalenia.

Mamy tu wszystkie postaci dramatu: wywłaszczonych niesprawiedliwie aptekarzy i ich spadkobierców, państwo zachowujące się jak paser, cwaniaków tużących się na cudzej krzywdzie i polityków, którzy nie potrafią tego wszystkiego ogarnąć. I tak to się będzie powtarzało przez kolejne lata. Nie miejsce tu, by szczegółowo opisywać losy kolejnych projektów, a było ich w latach 90. kilka.

To SLD, razem z Polskim Stronictwem Ludowym, było zawsze i konsekwentnie przeciwko reprivatyzacji. Dlatego też jest głównym odpowiedzialnym za bałagan, jaki mamy

Ważne jednak, by podkreślić, że nie jest prawdą, iż wszystkie polskie siły polityczne są winne temu, że reprivatyzacji nie udało się przeprowadzić. Kolejne sejmy pracowały bezskutecznie nad ustawami zgłaszanymi m.in. przez Janusza Lewandowskiego, KLD, UPR, UD czy KPN. Odpowiednią ustawę udało się uchwalić dopiero większością głosów Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności, co zawetował w 2001 roku Aleksander Kwaśniewski. To jego postkomunistyczna formacja, razem z Polskim Stronictwem Ludowym, była zawsze i konsekwentnie przeciwko reprivatyzacji, i w konsekwencji jest głównym odpowiedzialnym za bałagan, jaki mamy.

Polska jak Albania

Co nie znaczy, że jedynym winowajcą, bo przecież od prawie 11 lat na zmianę rządzą partie postsolidarnościowe, które nie zrobiły nic, by w końcu reprivatyzację uporządkować. Owszem, rząd PO-PSL niby przygotowywał kolejną ustawę, ale nie wyszła ona poza działania koncepcyjne. Powodem było to, że przez te wszystkie lata zaniedbań sprawa się mocno skomplikowała; na dodatek wybuchł kryzys gospodarczy, a polskie zadłużenie lawinowo wzrosło. Premier wraz z ministrem finansów mogli więc łatwo powiedzieć: „na reprivatyzację nie ma teraz pieniędzy”. Tego rodzaju kwestię trzeba rozwiązywać jak najszybciej, a „mała ustawa reprivatyzacyjna”, ukierunkowana bardziej na maksymalne wygaszenie roszczeń niż zmierzenie się z problemem, takim rozwiązaniem nie jest.

Tymczasem wszystkie inne demoludy, prócz Albanii (nie piszę w tym miejscu o byłych państwach Związku Sowieckiego), dawno mają już problem z głową. Odpowiednią ustawę uchwalono jeszcze w roku 1990, jako jedną z pierwszych po zjednoczeniu Niemiec. Nie ograniczała narodowości ubiegających się o zwrot i stawiała przede wszystkim na oddawanie nieruchomości w naturze. Proces objął ponad milion osób i dziś liczba nierozpatrzonych roszczeń jest marginalna. Ktoś może powiedzieć: „dobrze, NRD miało bogatszego brata w postaci RFN, który zapłacił rachunek”. Jednak nie można tego samego powiedzieć o Węgrzech, gdzie reprivatyzacja także miała masowy charakter, choć postawiły one na wypłacanie odszkodowań tylko swoim obywatelom, i to w postaci bonów prywatyzacyjnych. W efekcie, od kilkunastu lat temat restytucji jest nad Dunajem zamknięty. Po-

dobnie jak w Czechach i Słowacji, które uchwaliły odpowiednią ustawę jeszcze przed swoim aksamitnym rozwojem.

W Polsce zaś mieliśmy do czynienia z jednym wielkim chaosem. Niechlujność komunistów i to, że łamali prawo, które wcześniej sami uchwaliли, ułatwiły wielu byłym właścicielom odzyskiwanie swoich nieruchomości. To, czy prawowici właściciele mogli wrócić do swojej własności, zależało z reguły od dobrej woli samorządu. Dworki czy zakłady rzemieślnicze bywały zwracane za bezcen, zdarzało się też, że dzięki podważeniu przed sądem niezgodnej z prawem ekspropriacji udawało się odzyskać mienie lub uzyskać zadośćuczynienie. Brak uporządkowania całego procesu prowadził także do handlu roszczeniami – właściciele, tracąc nadzieję na uzyskanie czegokolwiek, sprzedawali swoje uprawnienia kancelariom prawnym. Inny scenariusz to ten, w którym za „odzyskiwanie” biorą się także zwykli oszuści – wykorzystując spreparowane dokumenty, usiłują uwłaszczyć się na cudzym mieniu.

Zrujnowane pałace

Nie można więc powiedzieć, że aferą jest reprivatyzacja. Aferą jest właśnie jej brak, a o tym, jak bardzo jest potrzebna, świadczą przykłady sukcesów, jakie przyniosło właścicielom (i lokalnym społecznościom) przekazanie własności prawowitym propterytariuszom.

Pomijając sam fakt niegospodarności gospodarki socjalistycznej, która doprowadziła wiele dobrze prosperujących wcześniej zakładów rzemieślniczych do ruiny, komuniści zachowywali się często jak pies ogrodnika: z jednej strony uniemożliwiając korzystanie z dworków czy pałacików, z drugiej samemu nic z nimi nie robiąc. Oczywiście część stała się bu-

dynkami mieszkalnymi dla większej ilości osób, szkołami, urzędami czy domami kultury, ale także duża część niszczała – i niszczeje nadal. Jak wynika z badań Najwyższej Izby Kontroli, opublikowanych w 2010 roku w „Informacji o wynikach kontroli prawidłowości gospodarowania i nadzoru nad wybranymi zabytkami nieruchomymi w latach 2004 – 2008”, „zabytkowe pałace i dworki odebrane po

Brak uporządkowania całego procesu prowadził do handlu roszczeniami – właściciele, tracąc nadzieję na uzyskanie czegokolwiek, sprzedawali swoje uprawnienia kancelariom prawnym

II wojnie światowej prywatnym właścicielom są w większości w fatalnym stanie. Obecni publiczni właściciele nie potrafią o nie zadbać. (...) Przejęciem zabytkowych pałaców i dworków, których nie jest w stanie utrzymać ani państwo ani samorząd, są często zainteresowani spadkobiercy przedwojennych właścicieli. Organy państwa utrudniały im jednak zwrot własności. Przedłużające się nawet do kilkunastu lat postępowania reprivatyzacyjne powodowały, że obiekty popadały w ruinę”. W związku z tym NIK wnioskował o jak najszybsze uregulowanie kwestii reprivatyzacyjnych, czego, jak wiemy, się nie doczekał.

Tymczasem można wymieniać liczne przykłady zabytków odzyskanych i zrewitalizowanych, które dziś funkcjonują

jako hotele czy restauracje. Zdarza się, że właściciele umożliwiają lokalnej społeczności korzystanie z nich, np. wydzielając część budynku na bibliotekę czy organizując w nim imprezy kulturalne. Także kamienice w wielu miastach nie grożą już zawaleniem i odzyskały swój dawny blask (a może nawet stały się piękniejsze) dzięki temu, że trafiły w prywatne ręce. Można również długo przytaczać przykłady z reguły mniejszych firm rodzinnych (cukierni, piekarni, tartaków), które dzięki odzyskaniu własności nieźle prosperują i mogą powoływać się na jeszcze przedwojenną tradycję.

Ratujmy, co się da

Pytanie brzmi więc nie „czy”, ale „jak” reprivatyzować? Niestety, z biegiem lat staje się to coraz trudniejsze. Najłatwiej jest zwracać mienie w naturze. Zwrot zamieszkałego mienia komunalnego nie jest z zasady niczym złym. Gospodarczym absurdem jest np. utrzymywanie mieszkań socjalnych w starych mieszczańskich kamienicach, w świetnej lokalizacji w samym centrum miasta. Prowadzi to bowiem do zrujnowania nieruchomości z powodu braku środków na ich utrzymywanie i marnuje ich gospodarczy potencjał. Przekazanie ich w ręce prywatne pozwoliłoby uruchomić je jako kapitał. Musi się to jednak odbywać z głową.

Po pierwsze, dotychczasowi mieszkańcy muszą mieć możliwość – już dziś prawnie gwarantowaną, choć nierzadko nieegzekwowaną – zamieszkania w lokalach zastępczych, które zapewnić musi im samorząd. Po drugie, uzyskanie nieruchomości musi być obwarowane pewnymi warunkami, nie może dochodzić do sytuacji, w której zabytkowa kamienica

lub dworek są wyburzane i w ich miejscu staje np. biurowiec, który nie współgra z otaczającym go krajobrazem (tu kłania się znów problem braku planów zagospodarowania przestrzennego). Oczywiście nie ma tu reguły i do każdego przypadku należy podchodzić indywidualnie.

Na pewno nie jest to łatwe, stąd bardzo często trzeba by sięgać po odszkodowania, co także będzie budziło kontrowersje. Prawie niemożliwe stało się połączenie reprivatyzacji z prywatyzacją, jak chciał tego AWS, gdyż do sprywatyzowania już niewiele zostało – stąd zazwyczaj świadczenia trzeba będzie wypłacać w gotówce lub np. w obligacjach skarbowych. Na potrzeby artykułu publicystycznego trudno jest mi wycenić możliwe roszczenia i ustalić, w jakiej wysokości powinny być one wypłacane. Obawiam się jednak, że biorąc pod uwagę stan naszych finansów publicznych, byli właściciele i ich spadkobiercy nie mogą liczyć na więcej niż, powiedzmy, 10–20 proc. wartości utraconego mienia. I to zapewne wypłacanych ratalnie przez lata.

By ograniczyć możliwość nadużyć, trzeba by też surowo i jednoznacznie określić katalog osób, które o zwrot mienia i odszkodowania mogą się starać, a które nie. Handlarze roszczeniami i osoby przypadkowe muszą zostać odcięci od profitów. I konieczne jest ustalenie ostatecznej cezurę czasowej, po przekroczeniu której roszczenia wygasają. Oczywiście nie unikniemy tragedii, nie mam wątpliwości, że nawet wówczas wielu prawowitych właścicieli odejdzie z kwitkiem. Ale – trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć – niestety całości krzywdy wyrównać się nie da. Więc – mając tego świadomość – ratujmy, co się da, i miejmy temat raz na zawsze za sobą.